

PURYTANIE SZKOCCY

opowiadanie historyczne

WEDŁUG

WALTER-SKOTTA.

Purytanami nazywano członków sekty religijnej, która nie poprzestając na podstawach religijnych przez Kościół strzeżonych, starała się je przedstawić według pojęć przez siebie obmyślanych, i stała się powodem długich zamieszek krajowych.

Przy końcu panowania rodziny Stuartów, władze krajowe używały rozlicznych środków dla przytłumienia Purytanizmu, a że jednym z głównych cech jego była szczególna staranność unikania wszelkich zebrań i zabaw publicznych, rząd przeto nakazywał częste popisy i ćwiczenia wojskowe a nawet zabawy i tańce publiczne, które się odbywały w każdym hrabstwie zwykle w dzień niedzielny. Purytanom potępiającym wszelkie zabawy choćby najniewinniejsze, święcącym niedziele z przesadną surowością takie podawanie sposobności do pustoty i wesołości bardzo się niepodobowało, i dla tego starali się ile możności, aby tych nad którymi mieli jaką przewagę, odwozić od uczęszczania na popisy. Odbywały się one z wielką uroczystością, gdyż wielkorządcy i szeryfowie mieli rozkaz uprzyjemnienia ich dla zebranych tłumów, i zwykle po ćwiczeniach przedpołudniowych następowały wieczorem tańce, do których przygrywała orkiestra zwykle złożona z kobzy, piszczałki i bębna.

Jeden z takich popisów szeryf hrabstwa Lenark naznaczył na dzień 5 Maja 1679 roku, na który panowie dziedzicznych włości obowiązani byli stawić się na czele pewnej liczby zbrojnych, a to stosownie do lenności jaką trzymali od korony. Miał się on odbyć na obszernej płaszczynie pod głównem miastem hrabstwa, liczne też tłumy nie omieszkały pospieszyć na tę uroczystość, z wyłączeniem Purytanów uważających za wielki grzech należenie do ucieszeń godnych największego potępienia. Nie znano wówczas kabrioletów, koczki i karet później wymyślonych, sam tylko lord wielkorządca miał powóz ciężkiej budowy dosyć podobny do starych koper-szychów arki Noego. Osem koni flamandzkich z długimi ogonami, ciągnęło ten wielki korab' obładowany osiemnastu osobami. W samym powozie siedział książę z żoną, ich dwoje dzieci, dwie damy dworskie, a we drzwiczkach po obu stronach kapelan i koniuszy. Trzech forsyków w wielkich perukach uzbrojonych w pałasze, pistolety i wielkie muszkiety przy siodłach powodowało koniami, a stan-gret w podobnym przystroju siedział na kozłach. Z tyłu za tym toczącym się domem stało w dwa rzędy sześciu lokai, uzbrojonych i w świetnej liberyi. Inne osoby znakomite zarówno kobiety jak i mężczyźni jechali konno, otoczone lennikami i służbą do nich należącą. Zgromadzenie to aczkolwiek świetne ale nie było liczne, gdyż w hrabstwie mnóstwo znajdowało się Purytanów, którzy wszyscy pozostali w domu.

Za karetą szeryfa, jechała na małym spokojnym koniku lady Bellenden, roszcząca sobie prawo do pierwszeństwa między szlachtą zgromadzoną. Miała na sobie żałobę, którą nosiła bez przerwy od dnia gdy mąż jej w czasie minionych zamieszek zginął na rusztowaniu w obronie swego monarchy. Przy niej na małym koniku hiszpańskim jechała wnuczka jej Edyta zwana złotowłosa, która powszechną na siebie zwracała uwagę, nie tyle zręcznością powodowania rumakiem i wytwornym strojem, ile miłą niezmiernie powierzchownością i szczególnie ujmującym wyrazem twarzy. Za temi dwoma damami jechało tylko dwóch służących, choć ich stopień i urodzenie wymagały liczniejszego orszaku; poważna jednak matrona nie mogła go utworzyć z mieszkańców lennictwa i dla tego zmuszoną była tylko służbę dworską przekształcić na wojowników. Według ułożonego planu, stary marszałek dworu od stóp do głów uzbrojony miał prowadzić całą rotę, ale pomimo tego, że jak powiadał, z potem czoła pracował nad niektórymi z jej poddanych aby się stawili na popis, nie mógł nie wskórać, i każdy zapewniając o swem przywiązaniu, wymówił się od obowiązku pod różnemi pozorami. Wprawdzie mógł krnąbrnych oskarżyć przed tajną radą i wyjednać wyrok skazujący ich na karę pieniężną, ale marszałek bał się tego jak ognia, mówiąc:

— Nie są oni tak bogaci, jeżeli więc obłożą ich karnymi opłatami, to któż zapłaci za nich czynsz, który i tak z wielką trudnością opłacają?

Z tego to powodu patrzono przez szpary na nieposłusznych, wydobyto broń ze zbrojowni zamkowej, i kiedy Harryson czekał już na zebranie swej rotę złożonej z domowników, aby ją uzbroić i oswoić z manewrami, przyszła do niego Mauza matka Kuddego ogrodnika, pomiędzy Purytanami jedna z najzgorzalszych i najbardziej fanatycznych, i wzniosłszy oczy w niebo z rękami złożonemi na piersiach, rzekła:

— Przyszłam umyślnie panie marszałku aby ci oświadczyć, że syn mój Kuddy, nie może należeć do orszaku jaki na popis przygotować zamierzyłeś....

— A to dla czego?—przerwał z niecierpliwością Harryson. Twój syn dobra kobieto — mówił dalej powstrzymując niezadowolone, znajduje się w służbie lady Bellenden, je jej chleb, doznaje jej opieki....

— Prawda panie marszałku, przerwała Mauza schylając głowę, to też w zamian daje swoją pracę, swoją troskliwość o dobro lady, wreszcie poczciwe i sumienne postępowanie, i spodziewam się że skarbci sobie przez to łaskę lady....

— Ale tu nie idzie o łaskę lub o służbę, ale o popis o orszak zbrojny jaki musimy dostawić.

— Zapewne — odrzekła Mauza, i mój syn byłby do niego należał, choć to ze służbą nie ma nic wspólnego, ale Bóg widać nie chciał dopuścić na niego tego zgorzenia, i spuścił tak ciężką niemoc tej nocy, że się podnieść z łóżka nie może.

— Zgorzenia! — zawołał Harryson, jak śmiesz kobieto zuchwała stosować te słowa do niewinnych rozrywek nie moralności nie ubliżających!

— Tak jest — powtórzyła Mauza z niezachwianą powagą, zgorzenia panie marszałku, jak zgorzeniem jest wszystko co nas zbyt mocno do ziemi przywiązuje. Taniec, muzyka, śmiechy, żarciki....

— Idź mi precz z oczu fanatyczko zuchwała — zawołał Harryson, odsuwając się od Mauzy, ale ta szybko przysunęła się do niego i rzekła:

— Panie marszałku, jesteś uczciwy człowiek, zważ tylko, niedziela, dzień święty, dzień przeznaczony....

— Dobrze, dobrze — przerwał Harryson, mimo tego sam się przekonam o mniemanej chorobie Kuddego i jeżeli poznam udanie, to wygnam was ze wsi oboje, jako przykład dla zuchwałych i nieposłusznych.

Harryson zastał Kuddego leżącego w łóżku z zamkniętymi oczyma, i czy to skutkiem silnej gorączki czy zupełnej niemocy, na wszelkie zapytania chłopak był jak niemy i głuchy, i choć łajano, grożono i proszono, nie można było z niego wydobyć ani jednego słowa odpowiedzi.

— Sprytna to niezmiernie sztuka ten Kuddy, myślał sobie Harryson wracając do zamku, umie on być i głupim i mądrym i gadułą i milczącym, jak potrzeba, i wszystko mi się zdaje że tą razą odgrywa komedię, ale przekonajże go tu i postaw na nogi.

Zdarzenie jednak to niezmiernie zakłopotowało Harrysona, i kiedy sturbowany myślał jak mu zaradzić, zbliżył się do niego stary szafarz towarzysz nieoddzielny wojaczki męża lady Bellenden i rzekł:

— Panie Harryson, weźmy naszego pastuszka Gibby w miejsce Kuddego. Kiedym wojował widziałem młodszych od niego w szeregach wojskowych.

Gibby był to młody chłopiec, mały, szeszupły i bardzo słabej głowiny. Doglądał drobiu pod zwierchnictwem gospodyni i właśnie w tej chwili pasł indyki. Kiedy go przywołano i nie nie mówiąc zaczęto go obnażać ze zwykłego ubrania, chłopiec sądząc że go na rzeź przeznaczono, spoglądał miłośnicznie na szafarza i marszałka, a widząc ich poważne twarze przyglądające się rapirom i sztyletom, zatrząsnął się jak w febrze i w głos rozpłakał.

— Cicho mazgaj! — zawołał Harryson tupiąc nogą — przecież nie ci się złego nie stanie. Zostaniesz żołnierzem, rycerzem...

— Ja, rycerzem? — przerwał z największym podziwem Gibby — kiedy nigdy w życiu nawet nie dotknąłem się zbroi...

— To ona się ciebie dotknie, zobaczysz co to za cudowna rzecz tak nagle zostać rycerzem.

Włożono zatem na niego pancerz tak ciężki, że chłopiec aż stęknął i ugiął się pod jego ciężarem: na nogi cienkie jak piszczałki, wciągnięto ogromne buty z ostrogami i cholewami prawie do pasa dochodzącymi, a na głowę włożono kask blaszany zasłaniający twarz do ust samych, tak że Gibby mógł tylko widzieć koniec swego nosa. Do rycerza wreszcie tak naprędcie utworzonego, przyczepiono rapir, i Gibby patrząc zdaleka wyglądał wcale nieźle, ale cóż z tego, kiedy z miejsca prawie się nie mógł poruszyć. Szczególniej bóty zawadzały, gdy więc dzwignął nogi z wielkim wysiłkiem, miał znowu ochotę rozpłakać się, ale że czas naglił i lady Bellenden miała już w krótko wyruszyć, przyprowadzono więc konia najspokojniejszego jaki był w stajni, wsadzono na niego chłopca i poleciwszy trzymanie się proste wyprawiono w imię Boże.

Gibby pod dowództwem Harrysona wraz z drugim towarzyszem stanął na dziedzińcu zamkowyim

czekając na wyjście lady, a gdy zobaczył gospodynią i dziewczki folwarczne przyglądające mu się z niezmiernym podziwem, nabrał otuchy, wyprostował się i szepnął sobie w myśli:

— Jakoś dam sobie radę: rycerstwo nie taka rzecz trudna jak myślałem, a jak wrócę z popisu to się zapiszę na wojaka.

Ruszo więc w drogę z całą powagą dostojności lady Bellenden: młodzi panice galopując na dzielnych rumakach z uszanowaniem skłaniali głowę przed lady Bellenden i wnuczką jej Edytą, a gdy orszak cały przedelfował przed Szeryfem, i popis został skończony z wielkiem zadowoleniem Harrysona, rozpoczęło się strzelanie do celu, czyli ptaka wyrobionego z drzewa, przystrojonego w kogucie pióra i osadzonego na wysokim słupie, którego trzeba było trafić kulą z oddalenia o sześćdziesiąt kroków. Zwycięzca otrzymywał na cały dzień chluby tytuł kapitana kurkowego i prowadzono go w tryumfie do najbliższej karczmy, gdzie częstował swoich współzawodników mniej szczęśliwych.

Pomimo kilkunastu już wystrzałów w pośród śmiechu i żartów ogólnych, ptak został nietknięty, gdy wystąpił młody człowiek w zielonym ubraniu, skromnym ale starannem dowodzącym wyższości nad stan pospolity.

Strzał jego do ptaka był trafny, a gdy powtórna próba udała się i wreszcie w całym pędzie konia poraz trzeci trafił do celu, okrzyknięty został zwycięzcą i jako taki poprowadzony tryumfalnie przed samego Szeryfa. Przechodząc około lady Bellenden ukłonił się Edycie, i gdy ta skinieniem głowy odpowiedziała mu na odebraną grzeczność, Babka zapytała:

— Znasz więc tego młodzieńca?

— Tak jest, widziałam go u stryja kika razy, jest to młodzieniec wykształcony i rozmowa z nim i przyjemna i pożyteczna.

— Jak się nazywa?

— Henryk Morton z Milnwood syn pułkownika Mortona — odrzekł stojący w pobliżu sir Gilbert, Ojciec jego walczył za sprawę króla w bitwie pod Dunbarem.

— Tak, to prawda — odrzekła lady Bellenden, ale wprzód walczył przeciw królowi a stryj jego to zatwardziały Purytanin. Syn więc ojca buntownika i synowiec fanatyka, powinien pamiętać o tem i nie mieszać się do towarzystwa osób, które zawsze stoją po stronie porządku publicznego.

— Jest tu z obowiązku swego — odrzekł sir Gilbert, jako należący do orszaku zbrojnych stryja swego, który ich dostawił skutkiem wydanego rozkazu. Wreszcie stryj jego to znany skąpiec, który o przekonania polityczne niewiele się troszczy, hyle tylko złota które składa nie chciano mu zabrać. Przypiętem Henryk nie gniewa się zapewne na okoliczność, która nastrojąc mu zabawę, uwolniła zarazem choć na dzień jeden od jedynych jego towarzyszy, stryja dziwaka i starej tetrycznej szafarki.

— Otóż pojazd księcia już wyrusza z powrotem, odezwał się drugi z pobliszej stojących.

— Tak, tak — odezwał się sir Gilbert, czas więc aby milady zajęła swoje miejsce w orszaku a że także zaraz powracam do domu, pozwoli więc pani że ją odprowadzę do zamku. Purytanie snują się jak wilki po drogach i gościńcach a coraz są zuchwalsi...

— Wdzięczną jestem milordowi za jego dobre chęci—odparła lady Bellenden i potem spoglądając z dumą na trzech swoich zbrojnych rycerzy, dodała: usługi jednak jego nie przyjmę, bo oddział mój zbrojny aż nadto jest dostateczny do obrony przed nিকেzennemi napastnikami. Racz tylko przypomnieć Harrysonowi że to nie kondukt pogrzebowy, niech z rotą swoją pospiesza za nami.

Harryson skrzywił się, bo przeczuwał niebezpieczeństwo spiesniejszej jazdy dla chłopca Gibby, który siedząc na koniu gdy szedł stępo, wyglądał jako tako. Ze jednak lady Bellenden przyspieszyła jazdy, a Harryson przysporzył sobie humoru wychyleniem nie jednej szklanki wina, machnął ręką i ruszył galopem a za nim szafarz i biedny pastuszek. Zaledwie jednak konie w bieg poszły, buty chłopca zaczęły uderzać rumaka jego po bokach, a że uzbrojone były w ostrogi, wierchowicie wziął na kiel i pędząc naprzód stanął w mgnieniu oka przy ogromnej karcie księcia.

Gibby nie zwyczajny takich wściekłych harców rozszalałego zwierza, trzymał się grzywy obu rękami i kładąc się prawie na siodle, przycisnął sobą zatkniętą w poprzek konia włócznię w którą był uzbrojony. Broń w ten sposób trzymana, tylko co miała wybić okno i wpaść do pojazdu, gdy przeraźliwy krzyk osób w nim siedzących przestraszył tak konia, że ten w bok pomknąwszy, wysadził jezdca z siodła i rzucił na ziemię o kilka kroków. Lady Bellenden nie wiedząc że to jeden z jej rycerzy tak się popisuje ze swą niezręcznością, przybliżyła się do powozu księcia w tej chwili, gdy Gibby spadając z konia zgubił kask i pokazał głowę swą obnażoną. Za jednym rzutem oka lady z wielkim swem przerażeniem poznała pastucha Gibby i zwracając się do Harrysona z czerwoną jak pons twarzą i z gniewu i ze wstydu, zapytała:

— A on co tu robi?

Harryson rzecz całą w kilku słowach objaśnił, mimo tego gniewu dumnej lady wystawionej w osobie swego sługi na publiczne pośmiewisko, nie nie zdołało uspokoić. Powróciła do zamku w najgorszym humorze i postanowiła Kuddego ogrodnika który nieposłuszeństwem naraził ją na taką zniewagę, surowo ukarać.

Nie wiedziała jednak, że przedmiot jej niechęci był bardzo blisko tuż przy Henryku Mortonie, z którym szczególnie się lubili. Chociaż bowiem ulgając woli Matki udał obłożnie chorego, jak tylko jednak odszedł Harryson natychmiast rześko wyskoczył z łóżka i przydziawszy na siebie szeroką opończę i kapelusz z obszernymi skrzydłami, pobiegł do miasteczka aby poprobować strzału do ptaka, a później należeć do uczyty kapitana kurkowego.

— Wiem co mnie spotka, mruknął do Henryka poznawszy w upadłym swego towarzysza: już co najmniej wypędzenie. Ale o siebie nie troskam się tylko o moją biedną Matkę, dla której nie prędko znajdę równie dobrą i wygodną służbę. Na to nie jednak nie poradzę, i dla tego panie Henryku a raczej panie kapitanie, nie opuszczę cię dzisiaj. Mają się drudzy uraczyć twoim traktamentem, niech że i ja skubnę cię troszeczkę.

Zaledwie zamieszanie z powodu wypadku Gibbego uspokoiło się, gdy współzawodnicy młodego Mortona otoczyli go w koło i winszując poprowadzili przy okrzykach i wiwatach pełnych wesołości do najbliż-

szej karczmy. Na czele całego tłumu jechał Niel sławny w całej okolicy grajek na kobzie ustrojony wstążkami jak druchna na wesele, za nim pośpieszał tłum gości zawodząc pieśni ohoceze.

W krótko też izba karczemna napełniła się licznym tłumem przybyłych; goście wypili już za zdrowie nowego kapitana, który chroniąc się trunku pilnował ażeby nie nikomu nie brakowało. Gdy już wypróżniono kilka gąsiorów zaczęli się zebrani rozchodzić, i pozostał tylko Henryk z kilkoma więcej na poczęstunek łakomemi.

Oprócz nich przy innym stole siedział sierżant z kapralem, należącym do sławnego regimentu gwardyi Klawerhuza, z której każdy żołnierz przechodzący do innego pułku zostawał od razu oficerem. Podnosiło to też żołnierzy tych w ogromne o swej godności zarozumienie, a sierżant był tego najlepszym dowodem.

Powszechnie zwano go w pułku pod nazwiskiem Bothwella, ale jego prawdziwe nazwisko było Franciszek Stuart jako pochodzącego w prostej linii od Stuarta hrabiego Bothwell, który umarł na wygnaniu w największej nędzy. Wnuk jego z którym się właśnie zaznajamiamy, przez czas jakiś służył za prostego żołnierza w obcych krajach i doświadczywszy wszystkich kolei nieszczęść, musiał teraz poprzestać na stopniu sierżanta w pułku gwardyi chociaż istotnie należał do rodziny królewskiej i to panującej w Szkocyi. Nadzwyczajna moc ciała, wielka biegłość w robieniu bronią i znakomite urodzenie, zwróciły na niego uwagę starszych, ale przytem podzielał grubijanstwo żołnierzy używanych zwykle do wyciskania z Purytanów opłat pieniężnych nakładanych na nich za opór i nieposłuszeństwo. W podobnej czynności byli bez żadnej zwykle litości i tak wprawili się do samowoli, że wszystkiego bezkarnie chcieli się dopuszczać, jakby nie znali innej władzy prócz swoich dowódców.

Sierżant Bothwell miał dawno ochotę rozpocząć jaką burdę, ale w pobliskiej izbie porucznik jego Graham grał z pastorem w szachy, musiał więc zważać na przynależne mu względy uszanowania. Skoro jednak porucznik wyszedł, Bothwell powstał i zwracając się do dragona siedzącego przy tym samym co on stole, rzekł:

— Hollidaj, nie jestże to dziwnem iż tylu młodzików pije przez cały wieczór, a żaden nie wzniósł zdrowia Królewskiego.

— Mylisz się, bo słyszałem jak kapitan kurkowy wniósł ten toast.

— No, jeżeli tak muszą wypić za zdrowie areybiskupa St. André.

— Wybornie kolego, a kto się oprze, wsadzimy go na drewnianego konia i do każdej nogi przyczepimy po dwanaście karabinów.

— Nawet armatę!—dołożył Bothwell i spojrzął dookoła izby.

W kącie jej zdala od drugich siedział mężczyzna silny, barczysty o wydatnych rysach twarzy i ponurem niezmiernie spojrzeniu. Sierżant przyjrzał mu się bacznie i mruknął do kolegi:

— Zacznę od tego samotnika ze zbójceką miną, co sam siedzi jak gdyby wszyscy inni byli zapowie-

trzeni. I wzięwszy pałasz w rękę dla nadania powagi swemu zuchwalstwu, stanął przed nieznanym i przybierając sposób mówienia purytański rzekł:

— Najukochańszy bracie, napełnij szklanke napojem i wypij za zdrowie arcybiskupa St. André szanownego prymasa Szkocyi.

Nieznajomy spojrział na niego niechętnie, zmarszczył brwi, poruszył się nawet niespokojnie, że zdawało się iż wpadnie na mówiącego jak sokół na czapkę, ale powstrzymał się i po małej chwili zapytał jak najspokojniej:

— A jeżeli nie uczynię zadość twemu zuchwałemu żądaniu, cóż mi za to będzie?

— Drobnostka kochanecku, drobnostka — odrzekł Bothwell. Dam ci tylko szczytka w nos, płazem po grzbiecie i uszy ci pourzynam.

— Skromny jesteś w swych darach niezmiernie, odrzekł nieznajomy, a więc piję za zdrowie prymasa Szkocyi, który zasłużył na miejsce obecnie zajmowane. Oby wszystkich prałatów Szkocyi też sama nagroda spotkała.

W tonie mowy i w całym wyrazie twarzy mówiącego, przebiegało coś tak dziwnego i wstrętnego, że gdy Hollidaj zawołał: otóż usłuchał nas! Sierżant mruknął do niego:

— Wypił bo wypił, ale mowa jego nie wiem dla czego ale nie podoba mi się i nie wiem co ten pies purytanin chciał przez nią wyrazić.

— Panowie — odezwał się Henryk Morton zapobiegając spodziewanej awanturze: wszyscy tu jesteśmy wiernymi poddanymi króla, dla tego grubiańskie obchodzenie się uważam zarówno za niewłaściwe jak nieszlachetne.

Sierżant chciał coś niezmiernie gburowato odpowiedzieć, ale mu szepnął Hollidaj, iż mają polecenie postępowania na popisie z przybyłymi jak najgrzeczniej. Mimo tego nie mógł się całkiem powstrzymać i patrząc groźnie w oczy Mortonowi rzekł:

— Dobrze kapitanie, strzelasz wybornie do kogutów drewnianych, ale tę sztukę umie każda baba na wsi byle tylko raz strzelbę wzięła do ręki. Jeżeli jednak pan kapitan lub ktoś z jego towarzyszy zechce ze mną spróbować się na pałasze, albo szpady do pierwszej krwi, to szedłbym o dukata. Ale ani myślę o tem, oni wszyscy — mówił dalej trącając nogą w szpadę Mortona, noszą te rożenki dla zabawki ale nie do użytku! Wreszcie i na kułaki poszedłbym chętnie, byle się tylko znalazł ochotnik.

Na te słowa obelżywe, Morton młody a więc porywczy zerwał się z ręką na rękojści opartą, ale stanął przed nim nieznajomy mówiąc:

— Zatrzymaj się młodzieńcze: pierwszy zostałem obrażony, mnie więc należy pierwszeństwo. Słyszałem że się chcesz bić sierżancie na kułaki, spróbuj się ze mną.

— Jak najchętniej kochanecku — odpowiedział Bothwell, ale nie długo leżeć będziesz na ziemi.

— Moc moja pochodzi od tego — odrzekł nieznajomy, który jest źródłem wszelkiej potęgi. Za zuchwalstwo więc swoje w krótkie odpokutujesz.

— Śmiałku! wrzasnął sierżant, stawaj i porachuj zebra czy masz wszystkie, całe, bo je umiem łamać od jednego uderzenia.

W mgnieniu oka zrucili oba suknie i wszyscy obecni otoczyli ich wokoło. Z początku zdawało się że sierżant brał górę, ale łatwo było

dostrzedz że ostatnich sił dobywał, gdy jego przeciwnik roztropnie swoich ochraniał. Nareszcie nieznajomy gwałtownie przyparłszy Bothwella, porwał go w górę i tak mocno rzucił o ziemię, że ten parę minut leżał bez przytomności.

— Zabiłeś mego sierżanta — zawołał Hollidaj dobywając pałasza, przysięgam że mi za to odpowiesz.

— Za pozwoleniem — odezwał się Morton, wszystko się odbyło jak należy i twój towarzysz otrzymał czego żądał.

— To prawda — rzekł Bothwell wstając z ziemi. Schowaj swój pałasz kolego, wypadku takiego nie spodziewałem się i do tego z pięści nędznego purytanina. Mimo tego podaj mi rękę przyjacielu spotkamy się jeszcze kiedyś z sobą, a wtedy nie na żarcie się skończy.

— I ja tak sędzę — odrzekł nieznajomy ściskając mu nawzajem rękę, a gdy ten czas przyjdzie, przyrzekam cię tak obalić że się już nie podniesiesz.

— Niech i tak będzie, odrzekł sierżant, a chociaż jesteś purytaninem radzę ci wcześniej się ztąd oddalić, bo wkrótce nasz oficer z rontem nadejdzie, a on lubi przytrzymywać nieznajomych choć mniej od ciebie podejrzanych.

Nieznajomy uznał widocznie tę radę za słuszną, gdyż natychmiast zapłacił karczmarzowi i okulbaczwszy konia ruszył w drogę. Gdy odjeżdżał spotkał Mortona żegnającego się ze swemi towarzyszami i także odjeżdżającego z karczmy.

— Jadę do Milnwood — rzekł do niego, czy pozwolisz abym ci towarzyszył?

— I owszem — odrzekł Morton, chociaż rysy twarzy towarzysza dość niemiłe sprawiały na nim wrażenie. Gdy razem opuszczali iniastróżkę legł się odgłos bębnow i piszczałek na rynku, a do karczmy wszedł porucznik Graham, w krótko po odjeździe nieznajomego z Mortonem.

— I cóż to Bothwellu — krzyknął na niego, czy nie słyszałeś czapstrzyku, że jeszcze nie myślisz wrócić do kwatery?

— Miał zaraz iść panie poruczniku, odrzekł Hollidaj, ale upadł i mocno się potłukł.

— Pewno w bójce jakiej, ale przysłała wiadomość, że karete prymasa Szkocyi dziś rano napadł oddział zbuntowanych purytanów. Za wykrycie zbrodniarzy wyznaczono sto grzywien nagrody.

— Wielki Boże! — zawołał Bothwell, ten nieznajomy co tu był przed chwilą, to figura strasznie podejrzana. Poruczniku czy jeden ze zbrodniarzy nie był krępy, barczysty, nosa orlego?

— Natychmiast ci powiem — rzekł Graham, mam ich opis. Czytajmy: Hakston de Rathillet, wysoki, chudy, włosy...

— To nie ten — przerwał sierżant.

— Jan Balfur Burlej, średniego wzrostu, nos ściągły, wzrok dziki, włosy rude.

— To on, to on! — zawołał Bothwell.

— Na karym koniu, z długim ogonem, czytał dalej Graham.

— Toż samo, nie ma kwandransu jak był tutaj.

d. c. n.